

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie pnumerała roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji księgarzni H. W. Kallenbacha.

DZIWO - ŻONA.

Powieść społeczna

przez

Władysława Mieczkowskiego.

XV.

(Ciąg dalszy.)

Pan Cefizes był to młody człowiek, mający około trzydziestu lat wieku, nieznajomych rodziców, nieznajomej kondycji, nieznajomej fortuny, ale znajomej okragłości grzesznego ciała, znajomej pokory, uległości i usługowości dla wszystkich, znajomy stąd, że był rodem z Podola, że przez jedną z pań wieku średniego został przemyczony do kilku salonów — i nazywał się z resztą Cefizes.

— Jak się ma pan Cefizes? — rzekła doń marszałkowa, wskazując mu krzesło blisko siebie, opróżnione w tej chwili przez kogo innego, bo taki był zwyczaj w salonie marszałkowej, że każdemu świeżo przybywającemu opróżniono miejsce tuż przy gospodyni.

— Pochwalony Jezus Chrystus, zdrow z łaski Boga, odpowiedział Cefizes i usiadł na krześle.

— Na wieki wieków, — rzekła na to wśród ciszy ogólnej powolnym głosem gospodyni a lekki uśmiech przeleciał po jej zgrzybiałej twarzy. Uśmiech ten przeleciał po kolei w tej samej mierze i w tem samem znaczeniu po wszystkich twarzach, a tymczasem ciężko dowcipny pódolak rzekł, obracając się do marszałkowej:

— Amen i niech będzie pochwalone królestwo twoje.

Zamiast wyrazu nieukontentowania z tak kacerskiego żartu znowu lekki uśmiech pokazał się na twarzy marszałkowej i po raz wtóry odbił się na twarzach całego zebrania, poczem gospodyni spytała gościa z powagą:

— Cóż nam przynosi nowego?

— Och! nie wiem nic pani dobrodziejko, — odpowiedział gość na to skrobiąc się w głowę, — cicho w tym Lwowie jakby mak siał.

— *Je ne conçois pas* doprawdy, — rzekła na to marszałkowa z przekąsem, — jak można nic nie wiedzieć wieczorem, zrobiwszy w dzień z dziesięć wizyt, nachodziwszy się z kilka godzin po mieście, widziawszy się z wszystkimi i stojąc jeszcze do tego w hotelu.

— Jak pana Boga kocham, — odpowiedział Cefizes, tak nic'em się nie dowiedział, chociaż'em wszystkich za-

czepiał po drodze. Myślę sobie, albo też nic nie wiedzą, albo nie chcą powiadać. Ale...

— Ale? — powtórzyła gospodyni.

— Ale może to będzie rzecz jaka ciekawa, — prowadził dalej Cefizes, — że tam do angielskiego hotelu właśnie przed samym wieczorem zajechał jakiś pan prosto z Paryża; ale to jakiś wielki pan być musi, bo ma taką karetę, com ja jeszcze takiej nie widział. A to karetą panie! jak u nas chłopska chałupa. I powiadali mi tam ludzie, że to można ją całkiem rozebrać i będzie z niej ot taka sama karetą, jakimi tu jeżdżą po Lwowie.

— I któż to jest taki? — zapytała gospodyni.

— O! już co tego, to nie wiem, — odpowiedział Cefizes, — bom się i o to nie pytał. Jenó tak sobie myślałem, że to jakiś wielki magnat być musi, bo przyjechało za nim jeszcze drugie jakieś pudło okrutne na resorach a wszystko to pocztą, a co tam stamtąd ponadobywano kufrów, a waliz, a pak, to aż strach.

— Któżby to mógł być taki? — pytała dalej marszałkowa z coraz bardziej wzrastającą ciekawością i przybliżając się do opowiadającego.

— O! już co tego to nie wiem, — powtórzył raz jeszcze Cefizes, — słyszałem wprawdzie, jak tam o to wypytywano jego kamerdynera, ale kamerdyner Francuz musi być gdzieś jeszcze siedm mil z za Paryża, trzepie tak francuzczyznę, żem go nie a nie nie mógł zrozumieć.

— Tak mówi po francusku! — powtórzyło z zadziwieniem całe zebranie.

— O! tak! — odpowiedział Cefizes, — żebym choć jedno słówko mógł być uchwycić, ale to nic a nic. Słyszałem wprawdzie, jak tam komuś powiadał garson...

— No, no, cóż on powiadał? — spytało kilka głosów.

— Powiadał, że to ma być jakiś Polak...

— Polak! — zawołała marszałkowa, jak gdyby się czegoś domyslała, — no i cóż, cóż?

— Ale jakoś mi się to nie zdaje...

— Polak, Polak... powtarzała w zamyśleniu marszałkowa, dodając z niechęcią i niecierpliwością, — ach! jak też pan nie ciekawy, żeby się też było nie dowiedzieć dokładnie!...

— Żeby się też było nie dowiedzieć dokładnie! — powtórzyło chórem całe zebranie.

Hm! bo to rzecz przecież ciekawa! — rzekła marszałkowa.

— To rzecz bardzo ciekawa! — powtórzył chór za nią...

— Ach! jaka szkoda, że tu niema pana Eligiusza! — zawołała marszałkowa.

— Ach! pana Eligiusza! — powtórzył chór znowu, ściskając się coraz mocniej około stołu.

— Ale wiesz co, panie Cefizes...

— Ach! panie Cefizes! — zawołał chór.

— Gdybyś ty sam pobiegł jeszcze raz...

— Ach! idź, idź, panie Cefizes! — zawołałi wszyscy błagającymi głosami, ściskając się jeszcze gęściej i pogładając z wyrazem uszczęśliwienia po sobie.

A wtem wszedł służący i zameldował hrabiego Zoila.

Na odgłos tego nazwiska rozstrzelili się wszyscy od siebie, w jakkolwiek bliskich tam kto był z sąsiadem uściskach, powaga i pokora osiadła na wszystkich twarzach. Cefizes się umknął z salonu a pani marszałkowa się przysunęła do samego rogu kanapy, ażeby powitać wchodzącego Zoila.

Pan Zoil był to mąż wzrostu małego, poważny, podstarzały, ubrany starannie i nie mający wcale miny wielkiego pana, ale mający za to sławę bardzo religijnego człowieka. Ponieważ atoli przy swojej religijności obdarzony był wielką bystrością rozumu, więc go się bano okropnie w salonie marszałkowej, drżały przed nim wszystkie dewotki a dewoci, kłaniając mu się jak najniżej, powiadali o nim, iż tylko dla tego nosi okulary, ażeby nie dojrzano, jak jego oczy, widząc wszystko dokładnie, szydzą sobie ze wszystkich i ze wszystkiego.

Pani marszałkowa powitała z wielkiem uszanowaniem nowego gościa, on jej się odklonił przyzwicie, kiwnął głową całemu towarzystwu, stłumił uśmiech szydzący, który w tej chwili jak błyskawica tylko przeleciał po jego twarzy i przysiadłszy się do gospodyni, zaczął z nią jakąś poważną rozmowę.

Wkrótce potem wszedł pan Eligiusz.

Pan Eligiusz był to stary kawaler czterdziestu i kilku lat wieku, nie wysoki nie mały, nie chudy nie tłusty, nie barczysty nie szczupły, nie ubrany starannie nie z zaniedbaniem, ale za to gładki, słodki, giętki i wyszlifowany jak nowa brzytew angielska. Pan Eligiusz nie był nigdy niczem w swem życiu; ale za to nie było sekt, towarzystw, kongregacji, opinii, tendencji, ludzi sławnych, przy których-by się był kiedyś nie wieszał, — zdaleka wprawdzie, bo był ostrożny, na krótko; bo się nikomu nie mógł zdać na nic, a gdzie by się był mógł zdać na jakieś narządzie, tam się nie mógł zdecydować na krok jakiś stanowczy. I tak wahając się ciągle i przesuwając się przez wszystkie odcienie wiar, wyznań, przekonań, zatrudnień, po latach czterdziestu i kilku zdecydował się przecie na koniec i został stanowczo tem, — czem z nas każdy był już w dzień po swem narodzeniu, — to jest, chrześcija-

ninem katolikiem. Taki sobie urząd wybraawszy, począł najpierwej gorliwie wypełniać główny obowiązek swojego urzędu a więc modlić się głośnie, domy Boże odwiedzać w samo południe, pilnować ściśle wszystkich festów kościelnych, miejsca święte nawiedzać, bić się w piersi w obec całej publiczności kościelnej i śpiewać w głos na procesjach. Potem zaczął namyslać się nad tem, jakie-by dalsze były obowiązki jego urzędu, które-by go gdzieś dalej zaprowadzić mogły, ale ponieważ nie jeszcze nateraz nie mógł wymyśleć, więc stał się sługą sług pańskich i służył wszystkim tak gorliwie, pilnie i wiernie, że pani marszałkowa go się odchwalić nie mogła. Był on też primadonna salonu tej pani a jej samej prawą ręką i pierwszym okiem w głowie. I wart tego był pan Eligiusz, bo też niezmordowany był w swoich usługach, pilny jak student a sprytny jak czarnoksiężnik do wszystkiego, czego tylko zażądano od niego. Taką służbą, rzecz rzeczywista, że się pan Eligiusz nad wszystkie dewotki i wszystkich Cefizesów odznaczył, gorliwość jego i tak wszechstronne talenta znalazły należyte uznanie i teraz zaczął już głowę cokolwiek podnosić do góry, bo miał już w towarzystwie dewotek i wszystkich laików w tem samem rzemiośle pewne i utrwalone znaczenie. Do czego właściwie nakoniec końców zmierzał ten pan Eligiusz i czy już może teraz jakieś pomniejsze cele swoje osiągał, tego nikt nie mógł odgadnąć, — to wszakże pewna, że takim był wtenczas, kiedy się działy rzeczy, które opowiadamy.

Kiedy więc wszedł do salonu ten pan Eligiusz, zaraz ku niemu poskoczyła jedna z pań o podał od stolika siedzących i wprawną wymową opowiedziała mu w oka mgnieniu, jak go tu przed chwilą i dla czego tak gorąco pragniono. Nad tą wiadomością zastanowił się cokolwiek kawaler, lecz po krótkim zastanowieniu zniknął jak duch ze salonu.

Potem wyszedł pan Zoil a niebawem powrócił Eligiusz, i z jego-to ust rozsiała się pewna wieść po salonie: że nowo przybyły jest to rzeczywiście jakiś człowiek bardzo bogaty, bo jego powozy, których aż trzy pan Eligiusz naliczył, są wszystkie wypakowane ogromnie a niektóre z tych pakunków tak ciężkie, że niemasz żadnej wątpliwości iż w nich są pieniądze. Brzęczało coś w nich we środku i brzęk ten sami posługacze gospodni na własne uszy słyszeli. Kim zaś jest w istocie ów nieznajomy, nie można się jeszcze dowiedzieć z pewnością, ale że jest Polakiem, to pewna, bo mówił ze sługami po polsku. Zdaje się nawet że jest Lwowianinem, albo musiał mieszkać przed laty we Lwowie, bo zna nazwiska ulic i placów publicznych i wypytywał się o niektórych panów tu mieszkających.

Na tej wiadomości niedokładnej pani marszałkowa nie poprzestała i wysłała Eligiusza jeszcze raz milczkiem do

hotelu i zapewne w kilkanaście minut potem już i nazwisko tego ciekawego podróżnego wiedziała, pomimo to jednak tutaj nietylko nie przeszkodziła ale nawet sama tak zręcznie sprawiła, że się ta wieść szczególna, przerobiona i przekształcona w dziesiątek najróżniejszych warjantów, natychmiast rozbiegła z jej salonu po mieście i już o niektórych z nich publiczność koncertowa wychodząc z sali wiedziała. Na reducie zaś opowiadano sobie tysiącami ust o jakichś xiążętach, hrabiach, baronach, bankierach, naczelnikach, prorokach, niebezpiecznych subjektach, przybyłych z milionami pieniędzy z Paryża, Londynu, Madrytu, Ameryki, Meksyku, Kuby, i w angielskim hotelu stojących.

Na drugi dzień wszakże jeszcze ciekawsze przyniesiono do salonu marszałkowej wiadomości. A to najpierwej, że ów nieznajomy był niezawodnie Lwowianinem i że się nazywał Kamilowski. Że tenże Kamilowski był na wczorajszej reducie i zrobił jakąś ogromną awanturę z Hrabianą Adela. Bito się, mordowano, tłuczono i powyrzucano się za okna i za drzwi. Wszystko to opowiadali naoczni świadkowie i dodawali jako rzecz pewną, że tenże pan nieznajomy miał niegdyś we Lwowie romans z panią Adela, jeszcze panną natenczas, że po jej za mąż pójściu napadł na dom jej męża i chciał pozabijać małżonków, że w skutek tego musiał z kraju uciekać, że się potem w Londynie zdążył z mężem Adeli i że się rznęli ze sobą na brzytwy, — że teraz ten dawny Adeli kochanek, zrobiwszy tam wielki majątek, powrócił nazad z myślą ożenienia się z panią Adela, ale ponieważ ją zastał na reducie przy boku jakiegoś nowego kochanka, wściekł się ze złości i mając tam ze sobą rozsypaną po sali bandę karbonaryuszów i różnych massonów, wytłukł całe towarzystwo do nogi i powyrzucił za okna. W skutek tego ujęła go zaraz na gorącym uczynku policja, włożyła nań podwójne kajdany i kaganiec na gębę i tak go zaprowadziła do więzienia, z czego wnosić należy, że będzie albo wieszany albo rozstrzelany, albo może oboje razem, bo nie pewniejszego jak to, że najmniej na dwie śmiercie zasłużył, jako karbonaryusz i zbójca.

Wszystkie te wiadomości pozwałała marszałkowa opowiadać przy sobie, chociaż w tych skandalicznych scenach figurowało nieukryte nazwisko jej siostrzenicy i nietylko że na to pozwałała, ale nawet sama tak się temi wiadomościami zajęła, że co chwila wyprawiała swoich Cefizosów do miasta po objaśnienia tych lub owych, cokolwiek jeszcze wątpliwych dla niej szczegółów. Tymczasem salon pani marszałkowej wyglądał jak prawdziwa młockarnia: opowiadano, powtarzano, dziwowano się, litowano, modlono już nawet za duszę tego strasznego karbonaryusza i zbrojcy.

Śród takich różnych manifestacyj pan Eligiusz podniósł głos swój słodziutki, bo widział że jest tego konieczna

potrzeba, i zaczął w jak najjaskrawszych kolorach malować całemu zgromadzeniu, co to jest karbonaryusz, co jest zbójca i jak jest straszną taka figura, w której się te dwa tak okropne połączą przymioty. Głuche milczenie zaległo całą komnatę, dewotki i panny pootwierały na ścieżaj usta, ażeby ani jednego słowa z tak ciekawej i tak strasznej prelekcji nie stracić, i już dreszcz począł im chodzić po plecach, już stał przed ich wyobraźnią straszny zbójca z pistoletami, sztyletami i mieczem, już się zaczęła im pokazywać czarna, brodata, okropna twarz karbonaryusza, — kiedy w tem wszedł do salonu służący i wymówił głośno nazwisko: pan Kamilowski.

Jak gdyby piorun siarczysty uderzył w sam środek stołu, rozskoczyło się całe towarzystwo od siebie, przestraszeni lodowaty pobielił wszystkie twarze, powywracał w słup oczy a nawet sam pan Eligiusz zerwał się na równe nogi i odskoczywszy w bok o dwa kroki, spojrzał z przestachem i ciekawością na marszałkową, — ale marszałkowa, jak wódz osiwiłały wśród gradu kul i kartaczów, siedziała najspokojniej na swoim miejscu i nawet z pewnym uśmiechem zadowolenia, odpowiedziała słującemu: proszę.

Zdziwione tem towarzystwo odsunęło się w kąt odległy salonu i zamknawszy w piersiach oddechy, wypatrzyło się ku drzwiom; jakoż w tej samej chwili wszedł do salonu — nie oczekiwany przez towarzystwo pan Kamilowski — ale oczekiwany przez marszałkową pan Kamil Łaski.

Okrzyczany ten karbonaryusz i zbójca był to człowiek wcale zwyczajny i niemający nic takiego w swojej postaci, co-by mogło przerażać; przeciwnie nawet, powierzchowność jego była uderzająco gładka a po jego ubiorze, ruchach i całym wzięciu nie można było nie przeczuwać w nim człowieka otartego i dobrze obznajomionego z cywilizowanym światem. Był on wzrostu średniego, barczysty i muszkułarny lecz chudy, czoło jego wysokie i wypukłe okrywały już tylko resztki jasnych blond włosów a twarz jego cokolwiek obdłużna i ogolona starannie, nosiła na sobie ślady niezaprzeczanej piękności. Te ślady wszakże widne były tylko w jej rysach głównych, bo cera jej była już teraz znakomicie wyżółkła, usta wybladłe, a czoło widomego poorane zmarszczkami. Ale wyraz jej nie był wcale nie miłym. Widać w nim było wiele namiętności, widać było niemało goryczy a nawet może cierpkości, ale to wszystko tonęło w jeszcze daleko wybitniejszym wyrazie smutku i jakiejś niby zastygniętej boleści, nad którym podnosiły się oczy tyle mające jasności i czoło tak mocno zamysłone, że raczej można się było domyślać pod tą powierzchownością człowieka namiętnego, nieszczęśliwego, niosącego albo ból jakiś głęboki w sereu, albo czarną zwątpienie w umyśle, niżeli człowieka złego i strasznego dla drugih.

(C. d. n.)

Z POEMATU: ŚPIEWAK Z OAZY.

Kassida.

(Ciąg dalszy).

Ranek na niebie świecił koralowo,
Kiedym rumaka wstrzymał koło źródła.
Rosa padała, a nad moją głową,
Zabłysło słońce w jaskrawym zawoju....
Mnie się wydaje, że krzewy oazy
Szeptają do mnie przekleństwa wyrazy;—
Ja powtarzałem je w głębinie serca,
A me przekleństwo niósł wichler szyderca!

Spojrzałem w kolczan, jedna tylko strzała!
Szablem zamieniał na perły kosztowne,
By nimi luba jasną skroń ubrała.
»Czemuż nie przy mnie żelazo hartowne!
»Gdy strzała chybi, a ja nie mam broni..
»On się śmiać będzie z szalonej pogoni!«
Biłem się w piersi, rwałem szaty moje,
Jak tygrys wściekły byłbym pił krwi źródła,
Gdyby mi z rany zwodziciela ciekła,
Duszę zmusiłbym by się raju rzekła.

Choć koń znużony, chciałem spieszyć dalej
A w tem, patrzę... na piaskowej fali,
Ktoś tam pomyka, kurzawa się związała,
O jakże krew mi po sercu zagrała!
Wychylał czoło... o, gdybym w tej chwili,
Sciemniał na wieki! poznałę Hafeda!
Przyjacieli? ona? więc ci mój zdradzili!
O! to się bracia wypowiedzieć nie da,
Chociażbym głosu pożytył od burzy,
Pierś ma rozpacz takiej nie powtórzy!

Patrzę;—ich lica krasila uciecha.
On jej coś szepnął, ona się uśmiecha,
Pała rumieńcem, ha! zmije piekielne!
Tu czeka tygrys, i żelazo celne!

Wybiegam z krzewu, w ręku strzałę dzierzę!
Kładę na majdan, wyprężyłem, mierzę...
W zatrute ostrze wpiłem oko moje,
Puszczam—o radość! serce przeszła dwoje!

Jęki boleśnie;—jeszczem zemstą dyszał;
Lecz kiedym jęk ten śmiertelny usłyszał,
Uczułem straszne rokosze szatana,
Gdy w piekło wejdzie dusza pokalana!

Biegnę ze śmiechem... Bracia! coż powiecie,
Oni niewinni! jak rosa, jak kwiecie,
Co w niebo patrzy jasnemi oczyma:
Hafed jej bronił przed gwałtem Selima!

Hafed mi rzecze: »My czyści oboje!
»Brat mój krwią naszą zbroczył ręce twoje,
»Selim — Zairę chciał porwać przemocą,—
»Jam go uprzedził, uciekliśmy nocą,
»By tobie... Allah! dłonie mi ścisnęli,
Spojrzeli w niebo — i cicho skonali!

Starce! ty biedniejszy; czyliż moje słowa
I serca obce tak poruszyć mogą?
W ręku twem szabla zadrzała stalowa,
Zdeptałeś trawę niecierpliwą nogą;
Dzięki! tyś uczuł, co to żyć w rozpacz,
Z sercem rozdartem, które nieprzebaczy.

Lecz nie! nie wiecie co to rozpacz wściekła!
Wyście tej żmiji nie karmili w łonie!
O z *Alseratu*²⁾ gdybym wpadł do piekła,
I *Monkir*³⁾ kosą rozłupał mi skronie,
Strachem by drżała czartów dziec zaciekle,
Widząc ten pożar co w w mej duszy płonie!
Próżno by wiedli w *Eblisa*⁴⁾ pieczary,
Bo on by dla mnie był nieznałazł kary!..

Ja mogłem umrzeć, powiecie Arabi...
Ha!—śmierć w rozpacz tak czarownie wabi!
Chwila! — i stać się martwym jak te głazy.—
O! chciałem konać ale milion razy!
I wiecznie cierpieć te straszne katusze
Które uczuły w skonanu ich dusze!

Ha! lecz powinność jedna niespełniona!
Chciałem by śmierć ich pomściła plemiona.
Spieszę do Mekki; ci mię poznać niechęć,
Zazdrośni serca szyderstwami łechcą,
I jakby we mnie nie widzieli brata,
Dali mi imię hańbiące warjata.
Ojciec Zairy, ten umarł z bólesci.
A Selim — Selim, gdy go doczły wieści,
Że ja powracam, — ujechał daleko,
Do znanych plemion, nad egipską rzeką!

Byli i tacy, co na duszy mali,
Cierpienia moje pojmywać się bali.
Jednak litością niemowlą przejęci,
Rzekli: cierpienia Allah w niebie święci!
I koran czytać i modlitwy radzą;—
Dziwni! czyż boleść u nich jest tak małą,
Że ją modlitwy i posty wygładzą?
O znać, ich jeszcze serce niebolało!

Wzgardziłem nimi!—uciekłem daleko,
Ich nienawidząc, przeklinając siebie!
Nieba mi były jako grobu wieko;..
Jam jak trup chodził po duszy pogrzebie,
Czekając chwili, aż ręka anioła,
Zerwie mi błędny promyk życia z czoła!

Wszędzie! jak ziemię ożywia duch łoży;
Od wschodu zorzy, do zachodu zorzy,
Nie było dla mnie i jednego kąta,
Gdzieby w ślad nieszła okropna pamiątka.

²⁾ *Alsyrat*, most wiedący do Edenu, zbudowany nad przepaścią piekieł, cienki i ostry jak brzytwa. — Po nim przechodzą umarli na sąd; — cnotliwi mają przechód łatwy, bo ich anioł przeprowadza; a grzesznicy tracą równowagę, i spadają w płomienie.

³⁾ *Monkir*, jeden ze sędziów piekielnych w mitologii arabskiej, rozłupywał umarłym kosą skronie, i czytał w nich czy dusza winna lub nie. —

⁴⁾ *Eblis*, rządcą piekieł. Kiedy *Monkir* wyczytał z rozłupanych skroni że dusza winna, prowadzono ją do pieczary *Eblisa*, a ten wyznaczał kary. —

Puszcze przebiegłem mą stopą tułaczą,
Z pustynią w duszy, a w sercu z rozpaczą!

Że niepojęli bracia mej boleści,
Rzuciłem braci!... Ale czy słyszycie,
Jak tam samotna krzewina szeleści?
Jęk jak zakłętej duszy w kwiatku życie ⁵⁾
Biedna krzewino! twoje ziarno małe,
Szalona burza zaniósła na skałę.
Wzrosłaś, szeleścisz; ciebie nikt niesłyszany
W głuchej pustyni, śród grobowej ciszy,
I bladym ogniem jaśnieją twoje kwiaty;
Nawet cię motyl omija skrzydlaty,
I leci spieszenie, gdzie twych sióstr tysiące
Mają dla niego żrenice iskrzące,
A ty samotna! toż pojąć niezdola
Równać drużyną, prócz kwiatów anioła!

Oto pieśń życia, jako palma sucha,
Zaszeleściła burzy przypomnieniem!
Błądny wędrowiec zadziwiony słucho,
Jak w dźwiękach echo rozplywa się z drzeniem,
I przeszłe życie, niby z mgły z daleka
Znowu się barwy dawnymi obwleka,
I równych cierpień otwiera podwoje,
A serce znowu toczy dawne boje!

Kiedy szalona zawieja przeminie,
Czyście uczuli bracia Arabowie,
Jak smutno patrzeć po naszej krainie:
W koło zniszczenie, i dzikie pustkowienie!
Tu sterczą krzewy przepalone żarem,
Tam milczą kwiaty pod piasku ciężarem....

Ala jest wielka chwila przebudzenia!
Ledwie wiaterek i rosa powionie,
Martwa Arabia swoją postać zmienia,
Znów kwiat na chwałę Allahowi płonie,
I znowu słychać pól czarowne gwary,
Jak lecą w niebo pieśniami bezmiary!

Otoż i dusza martwa i zbolała,
Raz się tym gwarom zdała przysłuchała...
Zrazum niepojął, myślał: liście suche
Wicher pomiata przez pustynie głuche,
Lecz coraz mocniej drząły tony rzewne,
Czułem że były duszy mej pokrewne,
Miałem gitarę, uderzyłem w stróny,
I śpiew wypłynął z serca rozkwilony,
A ja porwany mej pieśni tonami,
Cichej tęsknoty zapłakałem łzami!

I po tej chwili... o Allahu w niebie!
Oazo cicha i gitaro ciebie!
Błogosławiłem i was gwiazdy złote!
Tęsknota! — za nią idzie w ślad marzenie!
Allah! gdy w nocy gwiazdy zamigocą,
Do mojej myśli spływają ich cienie,

Z myśli do serca, i czarowną mocą,
Blizny ran srogich powoli ścierają,
Potem w pamięci cudnie rozkwitają,
Bo wyście sercu wróciły tęsknotę...

Szczęśliwi! w kim serce wcześniej się rozbudzi!
Ja bym powrócił, do świata! do ludzi!
Lecz starzec drogę nie przejdzie mozolną;
Mnie dzisiaj tylko czuć i tęsknić wolno!

Długie już lata mieszkam w tej oazie,
Wtem życiu żadnej niepragnę uciechy,
Pamięć wyrzyła w sercu, jak na głazie,
Starego grobu, moje dawne grzechy,
Cóż mi zostało? przeboleła głowa,
I niedaleko mogiła stepowa;
A ja bym pragnął, gdy Allah pozwoli,
Widzieć grób ojców i mój ród sokoli! (C. d. n.)

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

I. J. Kraszewskiego. — 4 Tomy.

(Ciąg dalszy)

Całe życie, cały interes jego był dla poety w pracy, w książce; z nudów stał się bibliomanem, jak mól grzebał się w starych szpargałach. Tu dla niego była przeszłość, kilka chwil w których serce biło mocniej. Dziś nie już na świecie nie mogło wywołać w duszy tych wzruszeń — w sercu były szron i siwizna. Wtem raz przyjaciel Stanisława, professor Hippolit, wszedł do niego i wyciągnął go na teatr; niemieccy aktorowie w przejeździe do Rosyi, dawali przedstawienia sztuk Szyllera. Sławna była w trupie aktorka tragiczna Smaragdina, wywołująca entuzjazm w publiczności. Jakież było wzruszenie biednego Stasia, kiedy w niej poznał Sarę, pełną ognia poezyi, pełną osobliwego talentu, pełną uczucia namiętnego! Po skończonej sztuce pobiegł za kulisy, by paść do nóg swojej Sarze; ale ta nie była już jego dawna Sara. Śmiała się z dawnych uniesień, szydziła z pamiątek przeszłości, kilka łez zaledwie dowiodło, że przypominała sobie to co było kiedyś; mówiła, że dziś niegodną już była czystego serca poety. Na drugi dzień Sara wyjechała, poeta został z rozpaczą w sercu. Z powodu śmierci ojca wyjechał na wieś; nowe wzruszenia zatarły siłę tego ciosu, ale moralnie był to trup. A Marylka chciała go wskrzesić, biedna dziewczyna! Przyjechała z matką do Wilna, myśląc że Staś zapomni o przeszłości, że odżyje pod wpływem jej uczucia, myślała nieboga, że z tych popiołów potrafi odgrzebać choć jedną isierkę — ale darmo! Staś był dla niej bratem, ale nieczem więcej; jedna nauka miała dla niego jeszcze jakiś powab; duch twórczy poety błądził po foliantach starych kronikarzy i ożywał sobą przeszłość zamartą; cała epoka powstawała z grobu i ożywała przed okiem jego duszy. Z powiązanych jak paciorki na sznurek faktów, z martwych kilku wyrazów, w umyśle Stasia tworzyły się obrazy ży-

⁵⁾ Obraz wschodni. Lud arabski myśli że pokutujące dusze bywają zakłęte przebywać jakiś czas w roślinach na puszczy, kamieniach czarujących drogę dla karawany i t. p.

wola pełne. A gdy czasami po długiem czytaniu głos podniósł o treści księgi, nie poznać jego było w zmianie, jakiej przechodząc przez duszę jego uległa. Stara to i wielka prawda, że każdy w miarę siebie wyczyta na książki karcie; dla jednego ona jest obrazem barw i światłości pełnym, dla innych pomieszanych gruzów stosem. Stanisław czytając tworzył. Pisał poezye, powieści, dramata, historye; chwycił to Bazylewicz, ożeniony z bogatą wdową, i pakował do swego Polyhistora, którego wydawał a do którego nie nie pisał; chwytał księgarze, nie wiedząc o tem, że każda karta, każdy wiersz, myśl każda, były to cząstki życia poety — że w nich wypalała się dusza jego jak oliwa w lampie. Marylka z rozpaczą patrzyła na Stasia, co jak cień błakał się po świecie; pozołkł, wysechł, wyłysiał na skroniach; czasami, czasami zapominał się na chwilę w jej towarzystwie, ale nie widział jej miłości — nie domyślał się jej. Kiedy tak Staś wegetował pomiędzy książkami, wbiegł znowu do jego gabineciku professor Hippolit, wołając doń, że Sara przyjechała. To jedno słowo ożywiło trupa: wyprostował się, w oczach coś błysło, rumieniec wystąpił na twarz zwiędłą, wybiegł na ulicę Niemiecką, do izdebki na poddaszu, bo w sercu jego imię Sary z nią się łączyło, potem rozpytawszy się o Smaragdinę, pobiegł do jej pysznego mieszkania i zastał ją u siebie. Zachodzące w tej chwili za dżdżyste obłoki słońce, wpadając oknem od balkonu, część jej oświecało jaskrawo, a w pół cieniu przezroczystym ujrzał Stanisław ideał swój, nawpół siedzący, nawpół spoczywający na sofie. Śliczne to było zjawisko! bo nawet wpośród tego zaniedbania i spoczynku, artystka pamiętała być piękną; wdzięcznie spadała jej biała lila sukienka u nóg wyciągniętych na sofie, na których rozwieszona była jak drape-rya greckiego posagu; ręka jedna półkołem zginała się nad głową, spoczywającą na poduszce karmazynowej od-ślanając śliczną szyję i część popiersia cudnych kształtów i śnieżnej białości. Padając dopiero u nóg czarodziejki, Szarski postrzegł, że nie była samą. Na tejże sofie, na drugim końcu, siedział z podgiętymi po turecku nogami, młody, bardzo przystojny, słusznego wzrostu, barczysty i jak Antynous zbudowany mężczyzna, w czerkieskiem ubra-niu, z sygarem w ustach. Twarz jego była widocznie słowiańską; strój, postać, blond włosy, niebieskie oczy ła-godne a obojętne, półuśmiech dobrotliwie szyderski, wyra-źnie mówiły o pochodzeniu. Z miny widać było dobrze wychowanego człowieka, miał bowiem coś wdzięcznego i wdzięczącego się, co ludzi klasy arystokratycznej cechuje wszędzie; w oku wiele dowcipu, w ustach trochę sarkazmu, ale zarazem wiele serdecznej dobroci. Na widok wła-tującego zapaleńca, Sara nie zmieszkała się, nie zapłoniła, nie krzyknęła, ale w głos, sucho, jasno, zimno, rozśmiała się dziwnym dźwiękiem.

— A to on! — zawołała, wskazując nań ręką księ-ciu, to mój poeta!

— Co to jest? kto to jest? — spytał Szarski jaskają się i szukając krzesła o któreby mógł oprzeć się, bo drżał cały.

— To książę N* * * mój przyjaciel, mój protektor, mój kochanek, jeśli chcesz żebym mówiła szczerze — od-parła Sara głosem, w którym chwilami coś osobliwszym boleści drżało wyrazem. To poeta, z któregośmy się ra-zem śmieli — rzekła do księcia, poeta, co stworzył Sarę.

— Piękny poemat — rzekł na to książę.

Książę uśmiechał się w początku, ale ta siła uczucia, napiętności, ten wyraz oblicza, strawionego długiem cier-pieniem, ożywionego polyskiem nadziei, przejęty go do duszy; spojrzął na Sarę, szczebioczącą może dla pokrycia wzruszenia, strząśł popiół z cygara i poszedł do okna, z przykrem widocznie wrażeniem.

— Powiedzże mu choć słówko od serca — jeśli masz serce — rzekł pańskim tonem i głosem, w którym prze-bijała się niemal pogarda; ten człowiek kona dla ciebie.

— Książę-byś powinien brać przykład z niego — rzekła po cichu Sara.

— Ja! zapewne! — szydersko mruknął książę; bądź spokojna, niegłupim stawić życie na serce kobiety! Wiesz dobrze, że moja miłość inaczej wygląda; miłość to próz-niacza, pańska, kapryśna. Dziś milion płacą za to, co ju-tro za grosz ma sprzedać.

— Oko ańioła a pierś z kamienia — odezwiała się Sara, nie zdając się uważać na Szarskiego, z wymówką i westchnieniem.

(D. n.)

O przedruku Słownika Lindego.

(Ciąg dalszy).

Wszak Bonary i Belmany za Zygmunów przychodząc z nad Renu rozwijali i podnieśli górnictwo polskie na znakomity stopień pomyślności. Zdawało się więc, że i górniczy język jest na pół nie-miecki. Otóż jakie zadziwienie, jaka radość, kiedy pan Łabęcki wdał się w bliższe rzeczy badanie, stworzył a raczej odtworzył, wyszukał, odkopał nam jakby w pokładach ziemi przedpotopowych, czysty, piękny górniczy język polski! Pokazuje się, że Niemcom nie do zazdrośczenia nie mamy i że jeżeli jakie wyrazy obce weszły do naszej mowy górniczej, stało się to więcej przez niedbalstwo przed-ków naszych, jak dla rzeczywistej potrzeby. Pan Łabęcki zebrał już przeszło 6,000 wyrazów górniczych, to jeden zaledwie wydział nau-ki; otóż przypuśćmy, że w każdym wydziale znalazłoby się tylko 6,000 wyrazów... Nie widzieliśmy, nie przeglądaliśmy nigdy słow-nika pana Łabęckiego, ale tego samego co nam o nim autor rozpo-wiadał, dosyć, żebyśmy się z pracy jego serdecznie cieszyli i stawia-li ją na wzór innym słownikom podobnego rodzaju. Autor bierze każdy wyraz i wskazuje na jego genealogię: ten a ten pisarz u-żył go raz pierwszy, w tym a w tym roku, w tem dziele, w tem a w tem znaczeniu. Później wyrazu tego używali ci i ci, wyraz ten zmieniał albo nie zmieniał swego znaczenia, używany był tak albo inaczej. Masz tu urodziny, ród, potomstwo, historję każdego wyra-zu aż do naszej chwili. Jeżeli kto z autorów utworzył wyraz, za-

sługi jego dla języka nauki widocznie zaraz ocenić się dadzą. Widzimy tutaj rodzenie się i rozwój, pracę całą pokoleń i wieków. Dawniejszych wyrazów gdzieś jednak szukał p. Łabęcki? czy po książkach jak Linde? Dużoby w książkach znalazł! Poszedł do rękopismów i otworzył nam źródła różnorodnej nauki.

Język polski żeglarski ani tknięty. A przecie miała Rzplta swoją flotę za Zygmunta Jagiellońskiego i za Wazy III., miała ją jeszcze za Władysława IV. Możeby także badaczowi na tem polu otworzyły się oczy! Nie sposób żeby zabytków jakich tej mowy nie zostało. To co jest, nazywać się musi, to co jest w Polsce, po polsku się nazywa, — jedno, drugie pojęcie może przejęte, ale i trzecie i czwarte zapewne swojskie i odszukać nam to, co swojskie potrzeba.

Do słownika żeglarskiego znaleźliśmy pewne fakta zebrane w świeżo wyszłym dziele o lasach Połujńskiego. Pamiętamy też nieosobliwej wartości książkę pana Rusieckiego, pod tytułem: *Małe tajemnice Warszawy*. Naśladować Eugeniusza Sue, pan Rusiecki dagerotypował język polski umówiony, złodziejski. I to nowość dla języka. Nie jest to słownik, ale rozmowy prowadzone o tyle o ile potrzeba było tego do powieści, ale i to bogactwo języka. Osobno także pamiętamy, pan Wiktor Kozłowski nadleśny rządowy, wydał dwa dziełka, jedno: *Pierwsze początki terminologii łowieckiej*, jeszcze w roku 1822, a drugie drukował w Sylwanii w roku 1846 pod tytułem: *Słownik leśny, bartny, busztyński i oryński*. Rzeczy to wszystko wielkiej wagi dla Słownika języka polskiego.

Tych wszystkich bogactw języka nie znał, nie domyślał się nawet Linde. Jednych choć były przed nim, nie widział; drugich, których jeszcze wtedy nie było, przewidzieć nie mógł.

Więc cui bono przedrukowywać Słownik Lindego? Jeżeli on dogadzał wymaganiom ojców naszych, to nam nie dogadza. Pokazaliśmy, że Linde nie obejmował wszystkiego, nie zajmował się rękopismami. Ale i książek jak wielu nieznał, jak ich mało czytał w porównaniu z bogactwem literatury! Czytał Linde dzieła po większej części historyczne, i w ogóle należące do literatury, którą kiedyś nazywano nadobną, piękną, to jest mało znał dzieł fachowych, specjalnych.

Jakże miał je znać i czytać, kiedy na to życie jednego człowieka nie starczy? Wtedy nie było jeszcze literatury Bentkowskiego. Kiedy się ta historia ukazała, wszystko czego w niej nie znaleziono, ogłoszono za bibliograficzne rzadkości, a dzisiaj już i te rzadkości nie są rzadkościami, tyle badań przybyło. Patrzymy co medycyna zajmuje w Bentkowskim stronnice, a oto teraz dwa grube tomy więcej historii literatury medycznej jak dziejów medycyny, ogłosił doktor Gąsiorowski i jeszcze nowe obiecuje dwa tomy. Linde pracując w bogatej bibliotece Ossolińskich, nie potrzebował literatury Bentkowskiego: cała biblioteka była mu katalogiem daleko dokładniejszym jak ten co go Bentkowski spisał, ale czy w owym czasie Linde mógł zaglądać do broszur, do dzieł specjalnych, kiedy mu leżały otwarte a nietykalne skarby w autorach pierwszego rzędu i znaczenia w literaturze? Kiedy zaś nie czytał dzieł specjalnych, jak, pytamy się mógł ułożyć słownik medyczny, matematyczny? Linde nie winien że nie wydał wszystkiemu, ale czyż godzi się dzisiaj myśleć, że słownik jego, to słownik języka? czy godzi się przedrukowywać jego dzieła i sądzić że się usługę robi dla literatury? Wszakże Linde dał nam tylko słownik malutkiej części mowy polskiej. Przedrukować go dzisiaj, nie będzie to to samo co rzucić Mrozińskich, Deszkiewiczów i Żochowskich a drukować Kopczyńskiego? Ale to troszkę zapóźno.

(D. c. n.)

Rozmaitość.

* **Korespondencya z Krakowa.** Ustanie „Dziennika literackiego,” jedynego poważniejszego pisma na całą Galicyę, daje świadectwo prowincyi tej, o jej ubóstwie umysłowem, skoro dla honoru i reprezentacyi języka swego w monarchii, nie zdobyła się na utrzymanie czasopisma. Mamy wiele historycznych imion, wiele naszych nowo powstałych krezusów, którzy przez samo uczucie poszanowania języka ojczystego, jeżeli nie z pominięcia onegoż, powinni by piśmiennictwu usłużyć nieść pomoc. Na cztery miliony mieszkańców nie ma ani jednego Raczyńskiego, Łubińskiego, Przezdzieckiego, i tylu innych opiekunów narodowej oświaty, w jakich inne prowincye obfitują, dla tego coraz bardziej zapadamy w ośrętwienie, ciemnotę, wynarodowienie. Dopókiż to Galicya jednego tylko Ossolińskiego, jako mecenasa ojczystej oświaty, potomności będzie przekazywać?

Pisano wam dawniej o zawiązaniu stowarzyszeniu sztuk, i zamierzonej wystawie obrazów. O ile wiadomo mi, podobno komitet stowarzyszenia, nie okazał wiele starań, dla tego też wystawa nie będzie liczną, zwlekła się o dwa miesiące później, i zapewne ledwie za kilkanaście dni zostanie otwartą. Rozprawiano najwięcej o miernej galerii Dąbskich, a niewiem czy wystósowano osobne listy zaprosin do wszystkich słynnych polskich malarzy, rzeźbiarzy, rysowników, aby nie odmówili współudziału. Komissya wyznaczona do ocenienia obrazów galerii Dąbskich, w relacyi przez p. P. i Ł. napisanej, wyjaśniła, iż galerya ta nie ma wartości, a jednak stowarzyszenie przyjęło ciężar utrzymania galerii, lokalu, opłacania teź assekuracyi, konserwatora obrazów, dozorczy i t. p. które to znaczne wydatki, użyte z funduszu akcyi stowarzyszonych, przynoszą uszczerbek nabywaniu obrazów uwiecznionych nagrodą, wydawaniu sztychów tychże i t. p. a galerya podrzędna, nikomu nie przyniesie korzyści.

Chociaż wystawa nie otworzona, mogę wam jednak dokładnie wyszczególnić dzieła jakie na niej znajdować się będą. Professor Hübner z Drezna nadesłał kartony do okna w kościele na górze Weinberg pod Dreznem, i mały obraz olejny przedstawiający Andromedę. Tegoż samego Hübnera roboty ustawione zostało okno u XX. Dominikanów w kaplicy Orlików w Krakowie. Dzieło to przedstawiające św. Jacka, Matkę Boską i św. Adelaidę naturalnej wielkości, jest arcydziełem w swoim rodzaju. Malowidło wypalono w Meissen w Saksonii, okno to dopiero teraz świeżo sprawione kosztem pani hr. Przezdzieckiej, żony znakomitego miłośnika nauk, kosztuje 2000 talarów. Zapewne „Czas” o niem rospisze się kiedy obszerniej, bo arcydzieło to godne jest uwagi. Simler z Warszawy, nadesłał dwa piękne obrazy z Maryi Malczewskiego, portret swej córki naturalnej wielkości, złożenie do grobu, i trzy tablice rysunkowe mieszczące wszystkich aktorów warszawskich w r. 1852. Lasockiego dwa obrazy zły duch i dobry duch, zasiewający ziarna, Kleopatry ze żmiją i kwiatami. Majera z Berlina, dziewczęta kąpiące się, w obrazie tym szezegóły są prześliczne. Hahn z Drezna uczeń Hübnera przysłał studia olejno koni. Jakiś Niemiec z Drezna przysłał obraz Najśw. Panny. Suchodolski nadesłał zdobycie Częstochowy, Grüne z Tarnowa, doprowadzenie Carów przed Zyg. III., Panna Kamińska córka generała, udzieliła obraz Matki Boskiej i głowa, kopia z Rembrandta.

Z tutejszych malarzy nie wszyscy reprezentowani będą na wystawie. Przynajmniej dotąd pan A. Płonezyński nie nadesłał nic ze swoich ślicznych krajobrazów, a pan Wład. Łuszczkiewicz nie wiem czy udzieli świeżo ukończony wielki obraz: śmierć Zborowskiego, mogący zwrócić uwagę znawców.

(D. n.)

* Przydani armii francuskiej dagerotypiści, przestali do Paryża przesłać 400 obrazów, przedstawiających czyny i pozycye armii i floty sprzymierzonych. Do wszystkich raportów dowodzących jene-

rałów dołączone są zawsze obrazy dagerotypowe objaśniające text raportu.

* W Berlinie uwiezono kilku kupców i kilku urzędników od bióra telegrafów za szczególniejszego rodzaju oszustwo. Skoro bankier jaki otrzymywał telegrafem polecenie zakupienia pewnej ilości wymienionych papierów, urzędnicy dawali o tem znać utworzonej klicie kupców i ci wprzód jeszcze skupywali te papiery, aby je po droższej cenie bankierowi sprzedać.

* We wszystkich obozach francuskich we Francyi, w północnych i południowych, Cesarz Ludwik Napoleon kazał zbudować teatra, gdzie codziennie prawie każdy żołnierz będzie miał wstęp wolny.

Przyjechali od dnia 22. do 23. Listopada do Lwowa.

PP. Dzieduszycki Edward, hr. z Milatycz. Badien Władysław, hr. ze Surochowa. Kutschera Tomasz, z Wiednia. Plattner Ferdynand, z Wiednia. Komorowski Józef, hr. z Przemyśla.

PP. Cielecki Ludwik, z Łoziny. Bał Franciszek, z Tuligłówn. Dobrzański Julian, z Krakowa. Köhler Edward, z Wiednia. Wojczyński Alfred, z Tuligłówn. Kellermann Antoni, z Przemyśla. Małachowski Ludwik, z Rokitna. Tretter Konstanty, z Łonia. Zalewski Konstanty, z Tarnopola. Szymanowski Szymon i Franciszek, z Krakowa. Skrzyński Władysław, ze Stryja. Błotnicki Artur, ze Stanisławowa.

Wyjechali od dnia 22. do 23. listopada ze Lwowa:

PP. Lubomirski Michał, do Przemyśla. Siemiński Wilhelm hr., do Bartatowa.

PP. Zbyszewski Wiktor, do Tarnowa. Czerwiński Stanisław, do Mościsk. Hohendorf Kalixt, do Gródka. Gottlieb Felix, do Mościsk. Pełowski Aleksander, do Krakowa. Płocki Józef, do Jawczego.

Kurs telegrafowany z Wiednia 24 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	—	Medyolan za 300 lirów .	126 $\frac{1}{2}$
Augsburg za 100 zhr. .	129	Paryz za 300 franków .	150 $\frac{1}{2}$
Bukareszt	—	Agio dmk. ces.	33
Frankfurt za 120 zhr. podług	—	Srebra agio	—
24 $\frac{1}{2}$ stopy	128 $\frac{1}{8}$	Pożyczka 5%	4 $\frac{1}{2}$
Genia	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco	94 $\frac{3}{4}$	Akcyje banku	487 $\frac{1}{2}$
Konstantynopol	—	Kolej północna	—
Liwurno	—	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl., 12 29	—	Nowa pożyczka z loteryą	96 $\frac{5}{8}$
Marsylia	—	Pożyczka narodowa . . .	87

Dzisiejszy Kurs Lwowski Gotówką towarem.

Dukat holenderski	zhr. 5 kr. 57	zhr. 6 kr. 2
Dukat cesarski	" 6 " 3	" 6 " 7
Półimperyal zhr. rosyjski	" 10 " 20	" 10 " 26
Rubel srebrny rosyjski	" 2 " —	" 2 " 2
Talar pruski	" 1 " 55	" 1 " 57
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1 " 27	" 1 " 28
Galicyskie listy zastawne za 100 zhr. bez kuponu „	86 " 10	" 86 " 30

Lwów 24. Listopada. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 28 zhr. 15 kr. do 31 zhr. 30 kr. — Żyta po 22 zhr. — kr. do 26 zhr. 15 kr. Jeczmienia po 19 zhr. 30 kr. do 21 zhr. 15 kr. Owsa po 18 zhr. — kr. do 20 zhr. 15 kr. Grochu po 28 zhr. — kr. do 29 zhr. — kr. Hreczki po 19 zhr. 30 kr. do 20 zhr. — kr. — Ziemiaków po 10 zhr. 15 do 11 zhr. — kr. Sąg drzewa bukowego 32 zhr. 30 kr. do — zhr. Sosnowego po 25 zhr. — kr. do — zhr. — kr. w.w. Cetnar siana 2 zhr. 30 kr. do 3 zhr. — kr. Centnar słomy 1 zhr. 30 kr. do 2 zhr. — kr. w.w. Garniec 30 stopniowej okowity 5 Zhr 10 kr. w.w.

(171)

NOWOŚCI LITERACKIE

nadeszłe do księgarni **Fr. Pillera i spółki** we Lwowie.

(Cena w mon. kon.)

- Bagińskiego X.** rękopism (1747—1784 r.) wyd. przez Eust. Tyszkiewicza. Wilno 1854. 1 zhr. 30 kr.
- Błociszewski K.** Historia powszechna dla uczącej się młodzieży. 4 tomy. Poznań 1850—1853 1 zhr. 30 kr.
- Cantu C.** Historia powszechna przekł. przez L. Rogalskiego. Z ryc. Tom I—V. Warszawa 1853. 30 zhr
- Dumas A.** Kalifornia. Rok politytu nad brzegami San-Joaquin i Sacramento, przekład W. Szymanowskiego. Warszawa 1854. 1 zhr. 48 kr.
- Grabowski A.** Skarbniczka naszej archeologii. Z 39. wizerunkami na 12 tabl. Lipsk 1854. 9 zhr.
- Gregorowicz J. K.** Dwie sceny z pożycia wiejskiego. Warszawa 1853. 1 zhr. 36 kr.
- Gregorowicz J. K.** Wiejskie zarysy. 2 tomy. Warszawa 1854. 4 zhr.
- Kaczkowski Z.** Ostatni z Nieczujów. Powieści. 3 tomy Petersburg 1853. 9 zhr.
- Kondratowicz L.** Dzieje literatury w Polsce. Tom I. II. Wilno 1850—1854. Cena przedpłaty na 3 tomy 12 zhr.
- Korzeniowski J.** Garbaty. Powieść. 3 tomy. Wilno 1853. 5 zhr.
- Korzeniowski J.** Wojna z kobietą. Komedya w 3. aktach. Petersburg 1854. 1 zhr. 30 kr.
- Lelewel J.** Narody na ziemiach sławiańskich przed powstaniem Polski. Tom do „Polski średnich wieków” wstępny. Z 6. tab. i 4. mapp. Poznań 1853. 14 zhr.
- Macaulay T. B.** Dzieje angielskie od wstąpienia na tron Jakóba II. Tom I. Poznań 1854. 4 zhr.
- Malecki A.** List żelazny. Tragedya w 5 aktach. Poznań 1854. 2 zhr. 40 kr.
- Opowiadania** o najsłynniejszych wynalazkach ludzkich. 2 tomy z 12 ryc. Warszawa 1854. 3 zhr.
- Parthenay K.** Dzieje panowania Fryderyka Augusta II. króla polskiego, w r. 1734 napisane, obecnie zaś na polski język przekł. Z 7 ryc. lit. Warszawa 1854. 7 zhr. 12 kr.
- Pieśni narod. serbskie** przełoż. przez R. Zamarskiego. dwa tomy w jednym. Warszawa 1853. 5 zhr. 24 kr.
- Sen wieszczu.** Opera w 3 aktach podług francuzk. przerobienie W. Syrokomli. Wilno 1854. 1 zhr. 12 kr.
- Smigielska Józefa.** Sukcesyie i praca. Powieść. 2 tomy. Petersburg 1854. 2 zhr. 42 kr
- Szymanowski W.** Świat i jego mieszkańce. Opis wszystkich krajów i ludów, kulę ziemską składających. 3 tomy z 40 kol. ryc. Wilno 1853. 24 zhr.
- Trentowski Br.** Demonomania czyli nauka nadziemskiej mądrości w najnowszej postaci. Poznań 1854. 1 zhr. 20 kr.
- Tripplin Dr. T.** Asmodeusz w Paryżu. Wspomnienia lekarza Polaka. 4 tomy. Warszawa 1854. 9 zhr.
- Podróż przez Saharę. 2. tomy Warszawa 1854. 3 zhr.
- Wspomnienia z podróży. Wyd. drugie. 4 tomy. Petersburg 1853. 12 zhr. 40 kr.
- Życie Macieja Lubieńskiego** o arcybiskupa gnieźnieńskiego w znacznej części podług życiopisu przez F. Bujdeckiego, kanonika gniez. skreślone przez X. L. U. Leszno 1854. 1 zhr.